

PRZEWODNIK KATOLICKI

Redaktor naczelny:
X. JÓZEF KŁOS w Poznaniu.
Telefon Redakcji: 2678.
Adres dla spraw dotyczących rękopisów
i treści pisma: REDAKCJA
Poznań, Aleje Marcinkowskiego 22.

Pismo ilustrowane dla Rodzin katolickich

z dodatkami:

„NASZA PRZYSZŁOŚĆ” i „GOSPODARSTWO”

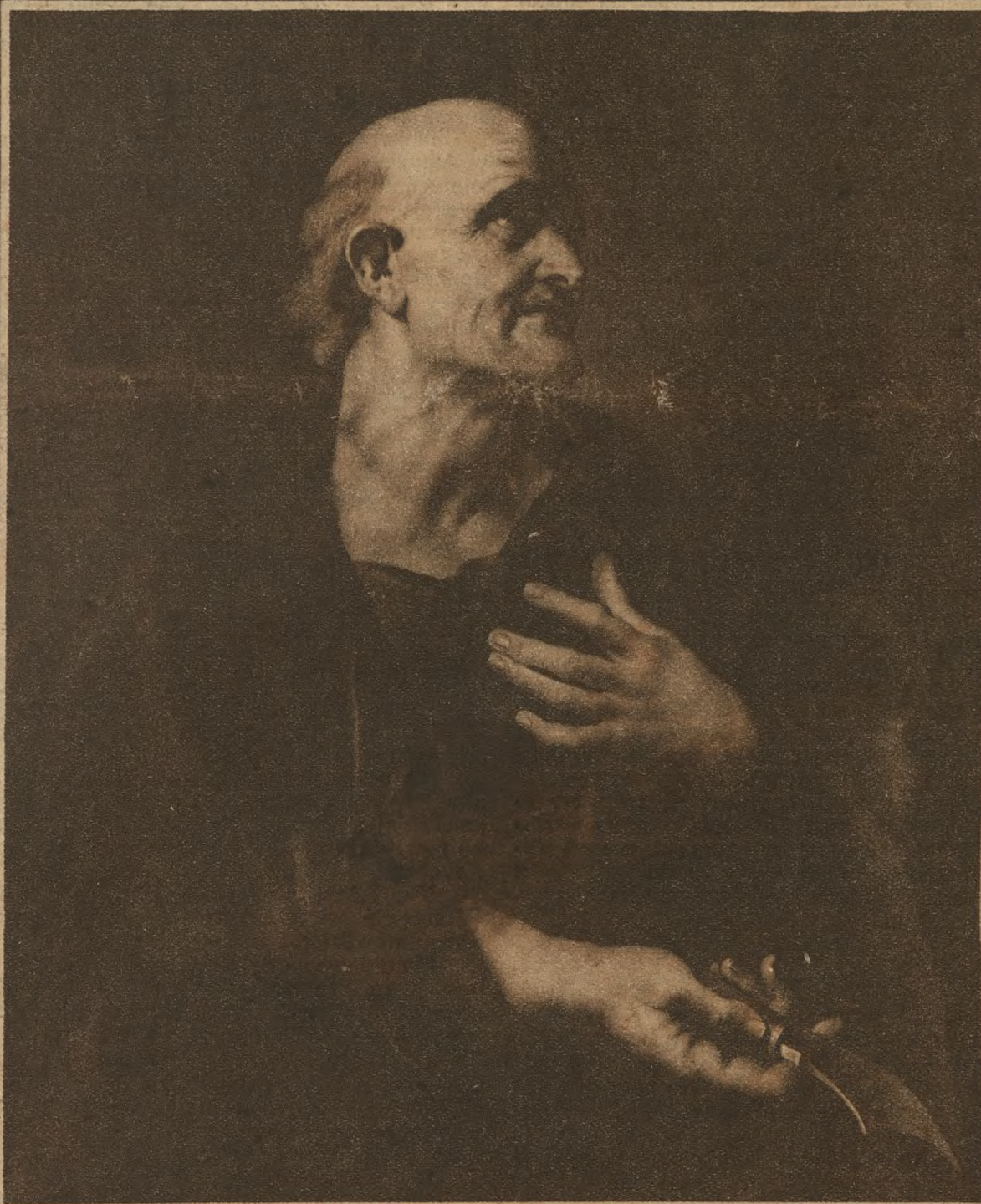
Adres dla spraw dotyczących przedpłaty
ekspedycji itd.
ADMINISTRACJA
Poznań, Aleje Marcinkowskiego 22
Tel. Administracji: 3613 i 2678
Warunki przedpłaty patrz ostatnią stronę
w dole.

Nr. 34

Poznań, dnia 21 sierpnia 1927 roku.

Rok XXXIII.

ŚWIĘTY APOSTÓŁ BARTŁOMIEJ



Obraz malowany przez Rubensa.

Święty Bartłomiej, apostoł

Święty Bartłomiej nazywał się właściwie Natanaelem. Z zawodu był rybakim, podobnie jak inni apostołowie. Jak oni wyczekiwał i Natanael przepowiedzianego Mesjasza. Pewnego dnia, — opowiada ewangelja — gdy wyczerpany pracą spoczywał pod drzewem, przybiegł do niego przyjaciel jego Filip z Betsaidy z radosną wieścią, że nareszcie przyszedł oczekiwany i przepowiadany przez proroków Mesjasz. Z powątpiewaniem odparł Natanael: „Cóż dobrego przyjść może z Nazaretu?” Jednak Filip pełen radości i zapału, schwycił go za rękę i mówił: „Pójdź i przekonaj się!” I poszli. Zaledwie Zbawiciel ujrzał Natanaela, gdy go powitał: „Oto prawdziwy Izraelita, bez przebiegłości i fałszu.” „Panie, skądże mnie znasz?” — zapytał zdziwiony Natanael. A Pan Jezus odrzekł: „Zaprawdę, powiadam ci, zanim Filip cię wołał, gdyś spoczywał pod drzewem, jam już cię widział.” Zdumiony wszechwiedzą Zbawiciela upadł przed nim Natanael i wyznał: „Mistrzu, Tyś jest synem Boga i królem Izraela.”

Takie było pierwsze spotkanie Zbawiciela z apostołem. Natanael odtąd już Zbawiciela nie opuścił, ale szedł wiernie za nim w gronie drugich apostołów. Był świadkiem jego nauk i cudów, patrzył na krwawą jego mękę i śmierć, i znowu przeżywał z nim razem owe kilkadziesiąt dni, które Zbawiciel spędził na ziemi po swoim zmartwychwstaniu. A przy wniebowstąpieniu Pana Jezusa, on narówni z innymi apostołami otrzymał rozkaz Zbawiciela: „Idźcie i nauczajcie wszystkie narody!” Wierny temu wezwaniu poszedł apostoł w świat, głosić ewangelję. Niestrudzony szedł przez kraje indyjskie, głosząc królestwo Boże i nawołując do pokuty. Zapewne napotkał na niejednych, którzy obrzucali go szyderstwem albo odpowiedzieli czynną zniewagą. Ale on się nie zrażał. W upale dnia i zimnie nocem przebiegał Frygię i Wielką Armenję, starając się coraz to nowe zastępy wiernych zdobyć dla umiłowanego Zbawiciela. Jego

ślady znaczyły liczne cuda, jakie działał w imię Chrystusowe.

To też — jak mówi podanie — kiedy przybył do miasta Albanopolu, król Polymjusz usłyszawszy o jego mocy cudotwórczej, zawezwał go do siebie i prosił, by uzdrowił mu obłąkaną córkę. Święty przybył na dwór królewski, a krótka jego modlitwa wystarczyła, aby uwolnić królowną od choroby. Uradowany monarcha w nagrodę chciał apostoła obrzucić złotem i klejnotami. On jednak nie dbał o skarby ziemskie, ale więcej pragnął zbawienia dusz odkupionych krwią jego Boskiego Mistrza. „Nie żądza złota — mówił — przywiódła mnie tutaj. Pragnę tylko szczęścia waszych dusz nieśmiertelnych. Widzieliście cuda, jakiem okazał przed wami — wiercie w Tego, który je zdziałał!” I tak wymownie poczał głosić prawdy swojej wiary, z takim zapałem opowiadał o miłosierdziu Boga, który swego Syna zesłał na świat dla zbawienia ludzi, iż zdumiał się król i całe jego otoczenie. A kiedy jeszcze na jedno jego słowo w gruzach legły kamienne posągi bożków pogańskich, król, jego rodzina i dwór prosili apostoła, by im udzielił chrztu św.

Tymczasem nie zabrakło i wrogów. Znaleźli oni w Astyagesie, bracie królewskim, pożądanego sprzymierzeńca. Astyages zaprosił apostoła do pałacu swego pod pozorem, iż pragnie pouczyć się o wierze Chrystusowej. Apostoł przybył. Tymczasem Astyages zażądał, aby złożył ofiarę bożkom. Św. Bartłomiej odmówił. „Nie będę, — rzekł — składał ofiary bezuśmyslnym bałwanom. Żyje Bóg, ale Bogiem jest Jezus Chrystus. Ja śmierci się nie lękam bo ona mnie połączy na wieki z Bogiem moim”. — Rozwścieklony Astyages rozkazał katom, aby zeń zdarli skórę, a potem ścięli mu głowę.

Cześć św. Bartłomieja rozpowszechniona jest bardzo szeroko, a w Polsce dużo dzieci przy chrzcie odbiera jego imię święte.

Ewangelja na jedenastą niedzielę po Świątkach

zapisana u św. Marka rozdz. 7, w. 31—37.

Won czas: Opuściwszy Jezus krainę Tyru, drogą na Sydon, udał się nad morze Galilejskie przez krainę Dekapolu. Wtem przyprowadzają Mu głuchego niemowę, i proszą Go, by włożył nań rękę. Wziął go tedy na bok od tłumu, włożył swe palce do jego uszu, a śliną swą dotknął się języka jego; i spojrzawszy w niebo, westchnął i rzekł doń: „Effetha,” to jest: „Otwórz się.” I otworzyły się niezwłocznie uszy jego, rozwiązały się też więzy języka jego, i mówił należycie. — I polecił im, by nikomu nie mówili. — Ale im więcej im nakazywał, tem oni więcej jeszcze rozgłaszali; i niezmiernie dziwili się, mówiąc: Wszystko dobrze czyni: głuchym przywraca słuch, a niemym mowę.

Nauka.

„I mówił należycie!”

Nieocenionym darem niebios jest język. Najmniejszym on członkiem ciała, lecz jak potężnym!

„Oto i okręty, wielkie będąc i gdy je srogie wiatry pędzą, obracane bywają malutkim sterem! Tak i język małym wprawdzie członkiem jest, ale wielkie rzeczy podnosi!”

Św. Jakób apostoł, przyrównuje język w dalszym

ciągu do iskry, mówiąc: „Oto jak mały ogień, a jak wielki las zapala! — Przez cię błogosławimy Boga i Ojca i przezeń przeklinamy ludzi. Z tychże ust wychodzi błogosławieństwo i przekleństwo!”

I dodaje święty apostoł to proste upomnienie: „Niema to tak być, bracia moi!”

Nie na to Bóg nam dał ten wspaniały dar mowy, abyśmy nią majestat jego obrażali. Mówmy przeto należycie; a więc najpierw unikajmy wielomówstwa, bo powiada Duch św. wielomówca bez grzechu się nie obstoi.

Nie mówmy słów gniewliwych, obrażających. W gniewie więcej niż kiedykolwiek prosimy Boga, aby postawił straż wargom naszym.

Miarkujmy mowę naszą żywą pamięcią na obecność Bożą. Ta najwięcej nam do tego dopomoże, abyśmy w różnych okolicznościach zawsze znaleźli odpowiednie słowo, mówili należycie.

„Jeśli kto w słowie nie upada, ten jest mężem doskonałym.” (Św. Jakób 3, 2).

„A jeśli kto mniema, że jest nabożnym, nie powściągaając języka swego, tego nabożeństwo próżne jest.” (Św. Jakób 1, 26).

Na drugiej półkuli

Wspomnienia i wrażenia z podróży na kongres eucharystyczny w Chicago

XLVI.

Wyprawa nieudana. — Dzień Niewiasty katolickiej. — Rodzina. — Wycieczka na cmentarz — Cmentarze amerykańskie. — Grobowce Zmarłychwstańców. — X. Wojciech Barzyński. — Przeszłość i przyszłość. — Cmentarz bezwyznaniowców. — Dzielnica domków rodzinnych. — Urządzenie domostwa amerykańskiego. — Posiadanie własnego domu pod względem społecznym.

Moja wyprawa po kufier speliła na ni-rzystwie mojego zacnego objechałem jak poraz dworce i magazyny linii kolejowych, spu-

szczałem się na kilka pięter w podziemia i znowu windowałem się na kilka pięter w górę. słyszałem te same co za pierwszym razem pytania: „Jaką linią jechałeś? kufier był mały czy duży? podłużny czy kwadratowy? szary, żółty czy brunatny?” Wi-

Za jakie pół roku! Wtedy, gdy będę już dawno w domu przy swoim warsztacie.

Oby was pokreśliło z taką pociechą!

Cóż jednak było robić? Ciężko mi było na sercu. A jeszcze musiałem nadrabiać miną, by nie zdradzać wewnętrznego utrapienia, bo nie brakło figlarzy-kolegów, którzy z mojej biedy kuli sobie dowcipki.

— Będzie dziś biba na powitanie kufra! — wołał jeden, gdy mnie zobaczył wracającego z rozpromienioną pozornie twarzą.

— Gdzie tam biba? — odpowiedziałem, nałożywszy odrazu minę żalobnika. — Chyba stypa pogrzebowa, bo mój kufier, zdaje się, umarł i już nigdy nie wróci. Byłem zły, więc poszedłem zaraz do łóżka, by przespać tę złość.

Nazajutrz nie wybrałem się do stadionu. Odbывała się tam wprawdzie uroczystość, w której pragnąłem uczestniczyć całym sercem. Był to bowiem dzień nabożeństwa Niewiasty katolickiej. Przeszło ćwierć miliona kobiet, w tem blisko 20 000 zakonnic składało w tem nabożeństwie hołd Nieśmiertelnemu Królowi Eucharystycznemu. Nie pojechałem na to nabożeństwo, raz nieco z markotności, następ-

nie zaś z tego powodu że chciałem przedpołudnie tego dnia poświęcić rodzinie.

Niech mi będzie wolno powiedzieć przy tej sposobności dla wytłumaczenia, że posiadam w Ameryce część rodziny. Zeszła się ta cała rodzina na żalobną mszę świętą za duszę brata starszego, który umarł w Chicago przed trzema laty. Po śniadaniu w gronie rodziny postanowiliśmy pojechać na grób brata na cmentarzu chicagowskim.

Pojechać na cmentarz, do tego samochodu, pomodlić się i wrócić, — obliczałem



Grobowiec xx zmarłychwstańców na cmentarzu w Chicago.

działem pocziwe współczucie w oczach u tych, którym opowiadałem o mojej stracie, u niektórych atoli spotkałem się z politowaniem, zwłaszcza, gdy nie wiedziałem, jaką jechałem linią i gdy musiałem się przyznać, że i tykiet na bagaż zgubiłem. — jakby chcieli rzeknąć: „Chory na głowę!”

Ale koniec końcem nic nie znalazłem i wróciłem do domu nie z kufrem, lecz z kwitkiem. Wprawdzie pocieszali mnie pocziwcy, że w Ameryce nic nie ginie i że mój kufier się znajdzie. Ale gdy się pytałem: „kiedy?” — otrzymałem odpowiedź:

— Trudno powiedzieć. Ale za jakie pół roku to już z pewnością.



Przed grobowcem zmarłychwstańców: Przeszłość i przyszłość.

Na lewo: Typowy dom chicagowski dla jednej rodziny.

Na dole: Mniejszy kupiec, rzemieślnik lub robotnik z rodziną przed własnym domostwem i przy własnym samochodzie.



— na to chyba starczy godzina. Tak, może gdzie indziej, ale nie w Ameryce, nie w Chicago. Cmentarz chicagowski oddalony jest od środka miasta o jakieś sto kilometrów. Gdy zaś samochód nasz, chcąc sobie skrócić drogę, zabłądził i w rzeczywistości drogi nadłżył, jechaliśmy na cmentarz coś około półtorej godziny.

Jeżeli miasto Chicago, miasto żywych, takie jest rozległe, to domyśleć się łatwo, że i cmentarz chicagowski, to miasto umarłych, nie może być mały. Ale nie wyobrażałem sobie, że taki jest bezbrzeżny. Po cmentarzu jeździ się istotnie jak po mieście, ulicami asfaltowanymi i murowanymi. Trzeba dobrze sobie spamiętać numer działnicy i numer ulicy, przy której mieszka nieboszczyk, by trafić do jego grobu.

Nie mogę jednak powiedzieć, aby cmentarz chicagowski, poza swoim ogromem, zajmował czemkolwiek zwiedzającego. Ani urządzeń ogrodniczych ani kwiatów ani wspaniałych grobowców.

Sadząc po cmentarzu w Chicago, mieście bogatym i ludnym, cmentarze amerykańskie nie cieszą się nadzwyczajną troską i hołdowaniem. Groby naogół nie bardzo starannie pielęgnowane. Podczas gdy Włoch sadzi się na to, aby z cmentarza swego zrobić, jakby muzeum dzieł sztuki, rzeźb prześlicznych, aby każdy grób poszczycić się mógł piękną ozdobą, to trzeźwy Amerykanin nie wysila się wcale w tym kierunku. Czasem tylko tu i owdzie wystrzeli wgórę jakiś pomnik milionera, bogaty, zbyt kowny, często mało smaczny, bo przeładowany luksusem marmuru, mozaiki, obrazów. Na naszych cmentarzach widzę w każdym razie wiele więcej tego, co się nazywa pietyzmem dla zmarłych: w Ameryce tego brak.

Skromny, ale piękny jest na cmentarzu chicagowskim duży grobowiec księży Zmartwychwstańców. Ponad kaplicą grobową, w której podziemiach spoczywają trumny, unosi się wysoko na wysmukłym słupie postać Chrystusa zmartwychwstałego, godła księży Zmartwychwstańców, ale i godła zmartwychwstania ciał, tego, który mówił o sobie: „Jam jest zmartwychwstanie i żywot”.

W grobowcu tym śpi snem wiecznym jeden ze Zmartwychwstańców, który w rozwoju sprawy katolickiej i narodowej w Chicago znaczną odegrał rolę, ksiądz Wojciech Barzyński. Był to filar zgromadzenia Zmartwychwstańców w latach, kiedy kładło się fundamenty pod grunt religijny i obywatelskiego życia chicagowskiej Polonii; dlatego imię jego wspomina się tam z wdzięcznością.

Przed grobowcem, kryjącym zgniliznę i kości spróchniałe, stanął do fotografii wspólnej obraz życia, jaki pokazuje obrazek. Tak często w życiu sąsiadują śmierć i przeszłość z życiem i przyszłością. A że to była moja rodzina, więc i ja znalazłem się na tym obrazie. Dla mnie nie chowa ta przyszłość żadnych specjalów: przecież już jestem za stary. Ale reszta z tych co na obrazku, przeważnie młode małżeństwa i malutcy obywatele, mogą jeszcze z przyszłością nawiązać pakt!

Oddzielony szeroką drogą od cmentarza chrześcijańskiego rozpościera się drugi, jak mi wyjaśniono cmentarz bezwyznaniowych. W Ameryce liczą się bezwyznaniowcy na miliony. Tworzą nawet odrębne gminy. Posiadają własne cmentarze. Pozbawiają się, nieszczęśliwcy, wszelkich pociech religijnych za życia, a po śmierci nie chcą nawet spoczywać pod ramionami krzyża Chrystusowego. Za ciężką żelazną bramą na wstępie do cmentarza, tam gdzie my katolicy stawiamy znak zbawienia, postawiono na wysokim postumencie postać ryczącego jelenia z rosochatami rogami. Co to ma znaczyć, nie mogłem

dociec. Wprawdzie i u nas chrześcijan znany jest obraz jelenia jako symbol tęsknoty za Bogiem i niebem — „jako jeleni pożąda do źródeł wód, tak pożąda dusza moja ku Tobie. Boże”, śpiewał psalmista, — ale przecież ci bezwyznaniowcy, nienawidzący wszystko co przypomina chrześcijaństwo, nie używaliby tam symbolu chrześcijańskiego. Ryczy chyba owa bestja rogata nad głupotą tych, którzy rzekli w sercu swoim „Nie masz Boga” i po śmierci jeszcze trwać chcą w tem przeczeniu.

Czy was nie zastanawia, kochani czytelnicy, gdy piszę tu o cmentarzach położonych tak daleko od mieszkań ludzkich, pytanie, jak się tam odbywają pogrzeby? Chyba niema jak u nas eksporty z domu na cmentarz?! Oj nie, bo pewnieby szli z nieboszczykiem pół dnia i więcej, zanimby go przywiekli na miejsce wiecznego spoczynku. Nie, najczęściej odbywa się pogrzeb tak, że zwłoki przywożą do kościoła, rzadko kiedy, przy wybitniejszych pogrzebach, ksiądz eksportuje je z domu, w kościele odbywa się msza święta i obrzędy pogrzebowe, a potem już zwłoki na samochodzie odpowiednio urządzonym jadą na cmentarz, gdzie następuje zwykle spuszczenie do grobu w cichości, bez dalszych ceremonij kościelnych. W wyjątkowych tylko razach gromadzą się jeszcze na cmentarzu przyjaciele i znajomi i żegnają nieboszczyka mowami i śpiewami. Taki sposób grzebania umarłych to konieczność wytworzona w wielkich miastach przez olbrzymie odalenia.

Wszystkie sprawy pogrzebowe załatwia w Ameryce nie rodzina zmarłego, lecz tak zwany undertaker czyli podjemca pogrzebowy. On ogłasza pogrzeb w gazetach, wykonuje przepisane formalności w urzędach, u proboszcza i na cmentarzu, dostarcza nie tylko trumny, ale i ubrania dla nieboszczyka, samochodów, kwiatów, wieńców, śpiewaków, katafalku, lichtarzy, ba, często nawet ma u siebie kapliczkę, czyli rodzaj kostnicy na przechowanie zwłok. Taki undertaker to wielka figura w parafii. Taż przy każdym kościele parafjalnym widnieje jedna lub więcej firm undertakerów, którzy w bogatszych parafiach dorabiają się dość szybko znacznych majątków.

Po powrocie z cmentarza jedziemy przez dzielnicę ogrodów i domów niedużych, budowany każdy dla jednej rodziny. Ta dzielnica stanowi ogromne, rozległe miasto dla siebie. Tutaj mieszkają tysiące rodzin, które mają w mieście swoje składy i sklepy a nie mogą się zdobyć na wysoki czynsz mieszkalny w samym środku miasta. Czy przypominacie sobie, kochani czytelnicy, mój opis owych domów robotniczych, które budują wielkie fabryki dla swoich pracowników, z wszelkimi wygodami, dając im możność nabycia czasami tych domów za spłatami na własność. Nie powtarzając już tamtego opisu, powiem tutaj, że potworzyły się w Chicago, jak zresztą zapewne i w innych miastach, zasobne spółki budowlane, które budują tysiące domów, może nieco zbyt kowniejszych niż owe domki robotnicze, i na korzystnych warunkach sprzedają je chętnym nabywcom. Byłem w kilku takich domach, u rodziny, i przekonałem się, jak budowane są szablonowo, według jednego wzoru, wszystkie takie same, z drobnymi chyba odmianami. Ale zato są te domy tanie, a na średnie rodziny zupełnie wystarczające. Są na dole poza sienią cztery pokoje i mała kuchenka, cała wyłożona porcelanowymi kafkami, bez pieca, bo wszystko gotuje się na elektryczności; na górze są jeszcze dwa małe pokoiki, przed domem ogródek, małutki, jak cztery blachy placka, ale mający miejsce na altankę, i oczywiście garaż dla dwóch samocho-

dów; pod domem zaś sklep czyli piwnica. Oglądając jeden taki sklep, widzę w nim coś jakby dużą banię, postawioną na palniku, a z bani rozchodzi się kilka rurek w górę, przez powałę.

— A to co jest? — pytam.

— To urządzenie do ogrzewania domu — słyszę objaśnienie. — Ogrzewamy dziś przeważnie olejem: rozgrzany olej idzie temi małemi rurkami do wszystkich pokoi. Ogrzewanie olejem ma tę korzystną stronę, że gdy nastawi się temperaturę dnia 15. października, kiedy się zaczynają zimne dni, na 16 stopni, to te 16 stopni, trwają za jednym zapaleniem, niezmiennemi aż do 16 maja, kiedy już ogrzewanie staje się niepotrzebne.

— A ta druga bania i kocioł co znaczy? — pytam, wskazując na jakieś mosiężne czy koprowe naczynia i maszyny.

— To? To? — odpowiada niby zażenowany gospodarz. — Właściwie nie powinienem powiadać, co to jest. To tajemnica. To jest — mówi mi potem niby do ucha — sprzęt zakazany. To jest przyrząd do robienia piwa, a jak się chce, to i wódki. Prohibicja nie pozwala. Nie wolno w Ameryce wyrabiać i pić napojów upajających. Ale niema prawie domu, w którymby takiej maszyny nie było. W oknach wystawnych poleca się takie domowe gorzelnie, po-

licja je widzi i nie konfiskuje ich. Władze policyjne umieją oko przymrużyć jak chcą i udają, że nie widzą. Tyle to warta ta nasza prohibicja.

Podaję w dzisiejszym numerze obrazek takiego typowego domku mieszkalnego przeciętnej rodziny kupieckiej lub urzędniczej.

Nabywanie domów na własność to rzecz ogromnie ważna pod względem społecznym. Każdy oszczędny i pracowity człowiek dochodzi tam powoli do posiadania własnego ogniska. A posiadając swój dom, swój ogródek, swój samochód, nie jest tak łatwo przystępny dla pomysłów socjalistycznych. Myśli o tem, aby swój majątek powiększyć i rozszerzyć wyteżoną pracą, a nie o tem, aby snuć nieplodne marzenia o rajach bez pracy i o wywłaszczeniu innych, no, i — siebie. W Ameryce mało jest socjalizmu. Przybyło go nieco więcej po wojnie, a przywlekli go rozmaici wykołofnicy z Europy, także niestety z Polski, oraz rozmaici agenci, którzy za dolary uszczęśliwić chcieli tamtejszych ludzi swojemi nowinkami. Nie byłaby doszła Ameryka do tak wszechstronnego dobrobytu, gdyby się rządziła ideami socjalistycznymi. Dlatego dając wolny wstęp socjalistom, bo tak nakazuje konstytucja amerykańska, traktuje ich jako szkodników dobra społecznego.

X. Józef Kłos.

PROBOSZCZ z ARS

(św. Jan Marja Baptysta Vianney)

Streściła podług francuskiego Iry St.

(Ciąg dalszy.)

Wielka popularność Świętego, jego bezwzględne miłosierdzie były solą w oku starych, doświadczonych proboszczów okolicznych, którzy patrzeć musieli nieraz na pustki w własnych świątyniach, podczas gdy tłumy rozentuzjasmowane biegły do Ars i oblegały konfesjonał x. Vianney.

Biskup z Belley odbierał raporta pełne fałszywych donosów, obniżających zasługi Świętego. We wielu sąsiednich parafjach wrzała przeciw niemu kampanja — oszczerza. Świątobliwy kapłan wiedział o wszystkim i choć serce mu się nieraz krwawiło, przyjmował z pokorą to ciężkie doświadczenie Boże i ćwiczył się w umiłowaniu krzyża. Ale ani na chwilę, nie przestał pracować dla zbawienia dusz; owszem, zapal jego rósł w miarę złości ludzkiej i pomimo pokus szatana, które równocześnie szarpały jego duszę i utrudniały wszelką pracę apostolską.

Po niedługim czasie, prześladowania ziemskie ustały. Biskup z Belley, po kilku konferencjach z x. Vianney i zbadaniu różnych spraw, przekonał się, że miał do czynienia ze Świętym, a nie z oryginalnym ośmieszonym przez ludzi i powiedział do księży:

— Życzę każdemu z was, podobnego pomieszczenia zmysłów, ono nie zaszkodzi waszej roztropności.

Po kilku latach, x. Vianney nie posiadał już przeciwników wśród duchowieństwa, — a ci, co go najwięcej potępiali, stali się jego gorliwymi zwolennikami. Czekano go jeszcze jedno wielkie zmartwienie, to jest skasowanie domku „Pod Opatrznością.” Oddał go w zarząd siostron zakonnych, aby zamknąć usta tym, którzy działalność jego w tym kierunku krytykowali. Natomiast wybudował przytułek dla chłopców, zaprosił na kierowników nowego zakładu Braci Świętej Rodziny z Belley. Jeden z nich został nieodstępny towarzyszem pracy x. Vianney — służył mu do mszy św., a po wielu latach zamknął mu oczy. Obie te szkoły tak podniosły poziom moralny parafjan, iż co do kultury ducha, Ars o 50 lat

wyprzedziło wszystkie wsie okoliczne. Nie mniej kasata domku „Pod Opatrznością” była jednym z najcięższych krzyżów życia x. Vianney, gdyż przez 25 lat wkładał w to dzieło całe serce, duszę, zapal i każdy grosz zaszczerdzony. Przyjął z poddaniem woli Bożej to bolesne doświadczenie, ciesząc się, że Bóg chłostając go, odrywa go od dzieła, które mu przynosiło wielkie zadowolenie serca i niejako przywiązywało do ziemi.

Były chwile, w których proboszcz z Ars, czuł jeszcze wątpliwości co do pozostania na swem stanowisku i pragnął szukać schronienia oraz światła u kapucynów w Lyonie. Jednakże kilkakrotne wyćieczki z parafji spełzły na niczem i duszpasterz wracał z nowym zapalem do swych owieczek, ale siły żywotne zaczęły wypowiadać mu służbę. Gdy x. Vianney zapadł na zdrowiu, Ars zamieniło się w jedno morze łez, kościół był przepełniony modłaczami się o powrót do zdrowia proboszcza, tłumy ludzi dobijały się do drzwi probostwa tak, że trzeba było postawić straż, gdyż wszyscy mieli tylko jedno życzenie — odebrać błogosławieństwo z rąk Świętego. W chwili, gdy już zdawało się, że wybiła ostatnia godzina, x. Vianney modlił się do Matki Naisw. i do św. Filomeny, aby jeżeli może, okazać się jeszcze pożytecznym dla dusz bratnich wyprosiły mu przedłużenie życia. Co też nastąpiło po odprawieniu mszy św. przy ołtarzu św. Filomeny. Od tej chwili chory zaczął powracać do sił i niebawem oparty na ramieniu przyjaciela, mógł powlec się do kościoła i sam odprawić nabożeństwo między 12 a 1 w nocy, gdyż wielkie osłabienie nie pozwoliło mu być naczco do rana. Gdy przysłano mu do pomocy zacnego i dzielnego wikarego, x. Vianney, po raz wtóry zapragnął szukać w klasztorze zaciszu w Dardilly, schronienia i w cieniach nocnych opuścił potajemnie swe probostwo. Biegł szybko, aby nie być widzianym, jednakże ktoś go dojrzał i cały sznur osób podążył za kapłanem, płacząc i błagając go, by nie opuszczał parafji.

I przez cały jego pobyt w Dardilly, nieustannie tłumy, pielgrzymowały do klasztoru, dopytując się o Świętego, prosząc o spowiedź lub wskazówki na życie.

(Ciąg dalszy nastąpi)

RODACY W BRAZYLJI



X. St. Piasecki, misjonarz, zasłużony działacz wśród Polaków w Brazylii.

Od Redakcji. W objeździe po Polsce, przybył do Poznania X Stanisław Piasecki, działacz na terenie naszej polskiej emigracji w Brazylii. Wśród tamtejszych rodaków pracuje już przeszło 13 lat jako misjonarz proboszcz, a od 7-miu lat jako wydawca gazety „Lud”, miesięcznika „Przyjaciel Rodziny”, jako organizator Związku „Oświata”, „Kółka Nauczycieli Chrześcijańskich” i Bursy dla chłopców kolonistów. Zwiedził on wszystkie niemal kolonie i zapuszczał się za rodakami w głębokie lasy, to też jego uwagi, ilustrowane fotografiami zainteresują zapewne naszych czytelników.

Niezapomniane nigdy chwile przeżywa każdy, który choć pobieżnie zobaczył Brazylię, ten ciekawy kraj, w którym tylu naszych rodaków w pogoni za lepszym kawałkiem chleba, jeszcze w czasach niewoli, znalazło gościnę i drugą ojczyznę.

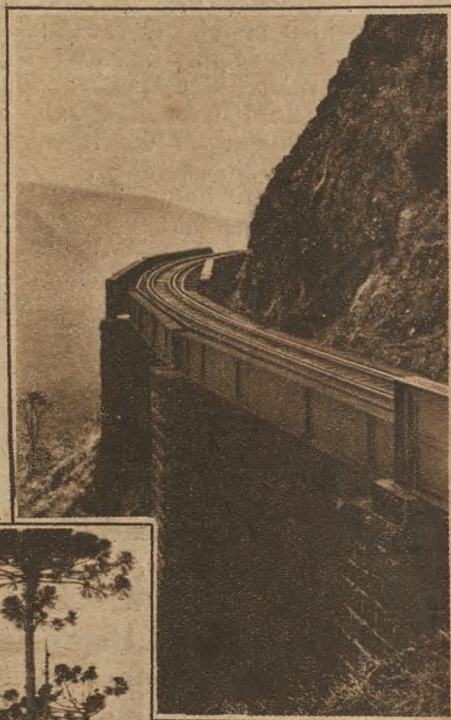
Nie zapomnę nigdy tego uroczego przybicia do portu Paranagu'a w r. 1914 w sierpniu.

Po świeżej i jednostajnej zieleni europejskiej, która corocznymi wiosnami utrwalała się w pamięci, uderza wysiadającego na brzeg parasięki (stanu Parana) egzotyczna roślinność, różnobarwna, nie tylko barwą kwiatów, ale i barwą liści, na tle zielonym. Nad bananami, ananasami unoszą się majestatycznie wielkie pióropusze palm. Pierwszą emigrację przyprzewodził tu do Parany p. Edmund Sebastjan Woś Saporski. Ze stanu Sta Catharina z pośród wyzyskujących ich Niemców wyprowadził ich z pod Brusque w r. 1869, aby swojskie, polskie tu w niezajętej jeszcze Paranie stwarzali osady.

Wśród bananów, bujnych palm, w parnym nizinnym klimacie nie swojsko było naszym, do pracy stworzonym emigrantom. Spojrzą ku niebu, a tam góry niebotyczne, w obłokach kapiące swe szczyty, zagradzają mu drogę. Z odwagą pnie się ku tym wyżynom, torując sobie wśród gąszczu ścieżynę fakiem (wielkim nożem). Udał się pod opiekuńcze konary pinjorów (rodzaj sosny) olbrzymów. Zrozumiał, że gdzie pinjory swojemi koronami jakby parasolami (zob. fot.) osłaniają niższy gąszcz dziewiczego lasu,

tam jest dostatek zdrowego powietrza. Idźmy za nim.

Dziś z tego nizinnego brzegu portowego miasta Paranagu'a, nie potrzeba sobie mozolnie torować drogi, bo na wysokość 800 metrów wspina się na przestrzeni 30 kilometrów kolej żelazna. Jest to arcydzieło inżynierji. Kłęby dymu rzucając i głośnie parskając, pnie się ten żelazny smok ku górze, jakby szponamiczepiasię nad przepastnych złomów skał. Idzie to skrawkiem skały, to sunie się mostem nad jakąś



U góry: Kolej parańska na wysokości 800 m. Z boku: Krajobraz parański z ciekawymi sosnami parańskimi t. zw. pinjorami.



30 metrów głęboką szczeliną gór i kryje się, gdzieś w górę wlażać tunelem, to

znów, jak gad leśny z czarnej dziury wypełźnie i czołga się po żelaznym moście, rzuconym z szczytu na szczyt góry (zob. fotogr.)

Silą rzeczy pierwsze kolonie rozłożyły się przy Kurytybie. Niektóre z nich obchodziły już 50-ciolecie swego istnienia.

Dawniej, kiedyś na przestrzeniach dziś przez Polaków zajętych mieszcili się szalasy Indian, żyjących dziko, nago i z polowania. Część ich wyginęła, część zlała się z narodem napływowym, a obecnie



Domek zbudowany przez kolonistę Polaka.



Kolonisci polscy z Brazylii przy polowaniu.

żyją oni cofnięci w głąb wielkiego kraju, rozbici na grupy o kilkudziesięciu rodzinach, na terenie ograniczonym.

Niewiele od indyjskich szalasów, różniło się pomieszkawie leśnego Brazylijanina (kabokla), żyjącego także z polowania, i najprymitywniejszego chowu świń i bydła, wypasających się bez właściwej opieki swego pana w dziewiczych lasach lub herwalach (herbata brazylijska).

Mozolna była praca początkowa naszego kolonisty i jest w dalszym ciągu na coraz szerszych przestrzeniach, zamieniającego dziewiczy dziki las na uprawne pola lub uporządkowane herwale.

Wali olbrzymie pinjory (arandaria, rodzaj sosny) wyróżniające się z otoczenia wysokością, smukłością i olbrzymią koroną gałęzi. Przecina je piłą, łupie z kłosa deski, zbija lub związuje razem i tworzy tymczasowy, obliczony tylko na kilka lat domek (zob. fotogr.). Naokoło domu wycina polankę, pali drzewo, i na spalenisku sadi przedewszystkiem kukurydzę, którą i ludzie i zwierzęta się żywią. Gdzie jest herva matte, zabiera się do jej wyrabiania. Polowaniem zaj-



Powoli lasy się przerzedzają, wśród obsianych nierównych pól widnieją jeszcze odosobnione pinjory, zostawione na budulec i latami sterzące inbnie, twarde i odporne. Z czasem, po kilku, kilkunastu latach stawia sobie porządniejsze domki z desek rzniętych piłą, lub w tartakach. Tak powoli powstają okolice



muje się z konieczności, broniąc swych uprawionych pól przed szkodnikami kryjącymi się w lasach, lub później po drodze, więcej dla rozrywki, przyjemności i pożytku.

Powoli z latami buduje sobie łodzie na rzekach, ulepsza drogi, które początkowo stanowiły ścieżyny zaledwie i tak stwarza sobie jakieś możliwe drogi komunikacyjne. (zob. fotogr.)



Zupełnie u góry: Nasi rodacy w podróży.

W kółku: Piękny wodospad brazylijski.

Niżej na lewo: Kościół i szkoła polska w Prudentopolis w Brazylii.

Na prawo: Polska plebanja w Prudentopolis z pięknymi okazami drzew brazylijskich.

Na dole: Misjonarze po pracy używają przejażdżki na jeziorze.

cywilizowane, a nawet drogi automobilowe. Tam gdzie zbyt góryste są okolice lub inne przeszkody do trans-

portowania ciężarów wozami, przewozi się zwłaszcza herwę z głębokich lasów na grzbietach koni, a zwłaszcza mulów.

Tak więc mozolna praca uprzystępnia dopiero człowiekowi piękności natury rozsiane po całej Brazylii, jak głazami ubrane rzeki i te liczne i przepiękne wodospady.

Od wynarodowienia i zdziczenia ratują naszych kolonistów kościoły i szkoły. Instynktownie skupiał się nasz naród koło kościołów. Ze wszystkich stron koloni do biskupów przychodziły prośby o księży. Sprowadzano ich z Polski. Gdzie osiadł ksiądz, zwykle szybciej rozwijała się kolonia, a obok kościoła powstawała zaraz szkoła nie tylko jedna ale i inne dalej na odległych liniach, zrazu małe, a potem okazałe (zob. f. togr.) Większe parafie sprowadziły sobie nauczycieli zakonnych. W Brazylii pracują siostry Miłosierdzia w 7 domach i Siostry Rodziny Marii w 12 domach. W miasteczkach powstają szpitale pod dyrekcją polskich sióstr.

Praca duszpasterska, jak i szkolna jest ciężka z powodu ogromnego rozrzucenia kolonii i pojedynczych kolonistów.

Bywa często, że dziecko chodzi 10 kilometrów do szkoły. Wskutek czego uczęszczanie do szkoły bardzo nieregularne, więc i wyniki nie mogą być

świetne. Przytem każde szkolne dziecko przedstawia wartość roboczą; to też zaledwie połowa z pierwszej klasy przechodzi do drugiej a z drugiej do trzeciej.

Praca duszpasterska jest bardzo różnorodna. Do rzadkości należy parafia o jednym kościele. Zwykle ksiądz ma do obsługi obok głównego kościoła jeszcze inne kościoły lub kaplice, rozrzucone na przestrzeni o dziesiątkach kilometrów. Bywa, że 2 i 3 miesiące objeżdża liczne (do 30 i 40) kaplice, należące do parafii. Praca wskutek tego nie może być gruntowna. Nema mowy n. p. o tem, aby w szkołach uczył ksiądz katechizmu.

W parafiach ustalonych, plebanie są wygodne i mile, we większości jeszcze drewniane (zob. fot.) Gdzie jest 2 księży praca jest ułatwiona. Trafiają się dni na rozrywkę w ciągu tygodnia (zob. fot.)

Wobec rozsiadania się naszych, już tam zwłaszcza urodzonych kolonistów polskich powstają osady coraz drobniejsze i więcej rozrzucone. Wskutek tego życie religijne i oświatowe słabnie coraz więcej. Bywają i wielkie skupienia bez stałej polskiej obsługi duchownej. N. p. Ijuhy około 400 rodzin, Floresta około 700 rodzin.

Na tym podkładzie, próbuje się od 1921 roku zcentralizowania prac zwłaszcza oświatowej.

Noc letnia...

Już zgąsło słońce na zachodzie
Otmia ziemię szary mrok,
A w tym półcieniu, o lekkim chłodzie
Czuć nadchodzącej nocy krok.

Z ostatnią pieśnią dziękczynienia
Wraca'a plaki do swych gniazd
Z lazuruwego zaś sklepienia
Mruga'a ku nam krocie gwiazd.

Księżycowego dziś promyka
Nie widać wcale, bo to nów,
W oddali dźwięczy śpiew słowika,
Unosząc myśl w kraj złotych snów.

Stopniowo cisza święta, błoga
Ogarnia pola, lasy, wieś;
O nocy, dana nam od Boga,
Ty duszom ludzkim pokój nieś!

Jawnuta.

Zofja Sokołowska

Co starościc zdobył na wojnie

21)

Powieść z XVII-go wieku

(Ciąg dalszy)

— Czasem pochwycę zabłąkane jagnię lub kozłatko — mówił dalej Walczak — na wybrzeżu nie brak różnych śmaków, które choć szpetne, ale są w smaku niezłe; to wyjadę na morze i ryb nałowię. W dzień śpię, w nocy żeruję.

— Wyjeżdżasz na morze, a czem? — żywo zapytał starościc.

— A łodzią. Ukradłem swemu panu piękną nową łódź i schowałem ją tak, że diabeł jej nie znajdzie. Tu jest na dole łaskinia, do której od lądu nie ma dostępu, jeno wpław od morza; gdy łódź z niej wyprowadzam, muszę się położyć, bo inaczej rozbiłbym łeb o skałę.

Starościc słuchał ze wzrastającym zajęciem; w głowie zaczął mu świtać plan ucieczki.

— Ile osób może pomieścić się w łodzi?

— Pięć, albo sześć.

— Słuchaj Walczak, czy chciałbyś wrócić do Polski?

— Olaboga! Co jegomość gada! Choćby dziś..

— Turcy i Tatarzy wypowiedzieli nam wojnę; w maju chan stał wyruszać z całym wojskiem. Otóż myślę, że wówczas ty, ja i jedna starsza białogłowa, także porwana z Podola, moglibyśmy w przebraniu tatarskiem popłynąć choćby do Stambułu, a stamtąd łądem dostać się do Polski.

— Do Polski! O Jezusie najmilejszy! O Panienko Najświętsza!... Aż mnie zatknęło z radości... Jegomość chyba z nieba wysłan, aby mnie biednego czeka z pęt pogańskich wybawić.

— Może zginiemy w drodze, wolę jednak to, aniżeli gnić dłużej w jasyrze. Mamy czas: kupię odzież tatarską dla nas obu, trzeba też przygotować zapasy żywności i burdziejki na wodę słodką.

— Są w łodzi wory skórzane, w których zabieraliśmy wodę, jadąc na połów. Nałowię i ususzę na słońcu dużo tych małych rybek, od których roi się tutaj. Mam w pieczarze moc słodkich kasztanów i orzechów, i to się weźmie. Bóg miłosierny da, że nie zdechniemy z głodu.

— Skoro tylko wymiarkuję, że będzie można wypłynąć, uwiadomię cię. Tymczasem nie będę tu przychodził, ażeby nie wzbudzać podejrzeń. Ostań z Bogiem, Walczaku!

Starościc biegł z góry, jak gdyby miał skrzydła: w głowie mu się paliło, serce biło gwałtownie. Plan ucieczki był już gotów; to, co wydawało mu się najtrudniejsze do zdobycia: mocne czółno, czekało na jego skinienie. Dwóch silnych i doświadczonych wioślarzy mogło w cieplej porze roku odważyć się na przebycie morza Czarnego.

Należało jeszcze zawiadomić strażnikową, bo nie miał serca zostawiać jej tutaj. Wyobrażał sobie radość Marysi! Bił się z myślami, w jaki sposób zdoła wcześniej uprzedzić strażnikową, nie wzbudzając podejrzeń. Służebne w haremach są pilnie strzeżone. Dopomógł mu w tem przypadek.

Wróciwszy do domu, nie zastał jeszcze Achmeta beia, wyszedł więc do ogrodu. Przechadzając się pod murem, usłyszał znowu stłumiony głos niewieści śpiewającej Godzinki. Należało korzystać ze sposobności. Wpadłszy do mieszkania, na kawalku papieru napisał: „Proszę zawiadomić zwykłą drogą, kiedy waćpani przyjdzie.” Podłóżył z ziemi kamyczek, owinął go w zapisaną kartkę i przerzucił za mur. Spiew nagle umilkł: strażnikowa musiała podnieść kamyczek.

Nazajutrz starościcowi udało się wymknąć z domu niepostrzeżenie. Poszedł do furtki i pod zwojami bluszczu znalazł wydrażony kij, a w nim zwinięty kawałek białej materji, na której pendzelkiem skreślone były słowa: „Sobota przed ostatnim izanem.”

W braku inkrustu i papieru, strażnikowa w ten sposób pisywała do niego.

Sobota przypadała nazajutrz. Na szczęście Achmet bej, zajęty przygotowaniem do wyprawy na Lechistan, większą zostawił mu swobodę, staroście mógł więc o zmroku być w gaju morwowym. Tym razem nie czekał długo; strażnikowa za chwilę otworzyła furtkę i stanęła przy nim zdyszana od szybkiego biegu.

— Co waćpan chcesz mi powiedzieć? — zapytała.

— Postanowiłem uciec stąd i zabrać waćpania, — odrzekł staroście — nie śmiałem tego napisać.

Przycisnęła rękę do serca.

— Jak? — szepnęła drżącym głosem.

— Łodzą przez morze. Będzie nam towarzyszył jeniec Mazur.

— Kiedy?

— Jak tylko chan wyruszy z wojskiem, a więc po świętach Bejramu. Zawiadomię o dniu i godzinie. Niech waćpani cz sto zagląda do furtki... Trzeba zabrać żywności, co można.

— A pieniądze waćpan masz?

— Przed odjazdem matka mi dała szeroki miękki pas, w którym zaszyła 100 czerwonych złotych. Noś go na ciele, uszedł więc uwagi Tatarów.

— Ja znów z biorę klejnoty, które dostałam od chanowej: złoty łańcuch, zausznice z rubinami i kilka sznurków pereł. W razie potrzeby będzie można spieniężyć je w jakimś mieście... Cała dygotać ze wzruszenia... Boże jedyny, nie marzyłam nawet, że kiedy wydotanę się z niewoli... Ale muszę iść; stara Tatarka, która pilnuje wszystkich służebnic w haremie, niczem smok, zaraz spostrzeże moją nieobecność.

— A niech waćpani się modli, ażeby nam się udało.

— Dziś jeszcze zaczęła nowennę na tę intencję. Bóg z tobą, zacny m odzieniec!

Strażnikowa zniknęła pod bluszczami, a staroście głęoko zadumany poszedł do domu. Czuł, jak wielką odpowiedzialność wzięł na siebie i starał się obmyślić jak najlepiej każdy szczegół ucieczki. Co poczną, skoro dostaną się do Stambułu? Za wojskiem padyszachia pociągnie przecież cały tabor bazarników, Turcy bowiem przywykli do zbytku nawet na wojnie nie mogli obejść się bez przysmaków i musieli mieć pod dostatkiem ryżu, kawy, bakali, kanaru, sorbetów, różnych zamorskich kondymentów i wszelakich owoców.

Staroście postanowił kupić wóz i parę mułów, naładować go czubami bakali i ruszyć za wojskiem, jako kupiec. W ten sposób, dostaną się wszyscy troje do Dniestru, a stamtąd już snadno będzie przeprawić się do swoich.

Liczył każdy dzień do wyjazdu chana, aż wreszcie na początku maja, Selim Giraj wyruszył na czele 50.000 ordyńców przez stepy nad Boh, gdzie miał

złączyć się z Doroszeńką i Kozakami. Achmet bej pojechał w jego orszaku palając żądzą odznaczenia się i nadzieją bogatych łupów. Tatarzy budziący, nogajscy i dobruicy szli pod Adrianopol, kiedy ścigałaby wszystkie wojska padyszacha z trzech części świata. Imanowie wszędzie głosili wojnę świętą.

Nastawały właśnie noce bezksiężycowe, najlepsze do ucieczki. Staroście wybrał się rankiem na górę Kikine's i dla wywabienia Walczaka, zaczął śpiewać jakąś piosenkę ludową. Walczak zaraz wychylił się ze swej kryjówki i rozradowany objął kolana młodego rycerza.

— Adyć ledwie ze skóry nie wyskoczył, czekając na jegomości! — rzekł, — i cóż? kiedy wypłyniemy?

— Jutro wieczorem. Przygotuj wodę. A żywność masz?

— Już jest w czółnie.

Staroście wskazał mu miejsce, gdzie ma oczekiwać z czółnem.

— Przyniosłem ci ubranie tatarskie, — rzekł, wyjmując z pod burki zawiniątko. — Bywaj! A bądź ostrożny!

— Dobrze, jegomość kochany. Niech cię Najświętsza Paniienka strzeże!

W powrotnej drodze staroście wsunął pod bluszcze przy furtce kij wydrażony, a w nim kartkę tej treści: „W godzinę po zachodzie słońca, przyjdę i zagruchoam jak gołąb.”

Przez te dwa dni był jak w gorączce, wając wszystkie przeciwe i przyjazne okoliczności, na pozór jednak wydawał się spokojny, gdyż mimo żywego usposobienia, umiał panować nad sobą.

Drugiego dnia po wieczery, zaczął skarżyć się na ból głowy i poszedł do swojej izby. Tam wdział na siebie ubiór tatarski przedtem kupiony i okryty kożuchem, wyskoczył przez otwarte okno, zabierając zawiniątko z polskimi szatami. Noc była ciemna, wiatr przyganiał chmury po niebie.

Wielkimi krokami zdążył na umówione miejsce i stanawszy w gaju morwowym zagruchoał jak gołąb. Na ten znak oddzieliła się od muru wysoka postać, osłonięta płaszczem i obłożona woreczkami.

Staroście ścisnął ją tylko za rękę i oboje w milczeniu zaczęli iść w stronę morza. Wtem usłyszeli przed sobą głosy i śpiesznie skryli się wśród krzewów. Dwóch Tatarów przechodziło drogą. Jeżeli spostrzegą ich i zaczepią, wszystko stracone...

Serca zbiegów były jak młotem, oczy starały się przebić ciemności.

Tatarzy oddalili się... Staroście i strażnikowa odetchnęli i poszli w stronę morza, którego szum dochodził coraz głośniejszy. Stanęli wreszcie w umówionym miejscu i staroście zaczął gruchać jak gołąb...

Roztropny Walczak już czekał i na dany znak podpłynął tak cicho, że zaledwie było słyhać plusk wiosła.

Staroście i strażnikowa w milczeniu zajęły miejsca w czółnie, które natychmiast odbiło od brzegu. Morze zaczęło chuchać niemięlagodnie, niby matka kołysząca dziecko. Strażnikowa półgłosem odmawiała litanie do Matki Boskiej, a wioslarze odpowiadali jej: Módl się za nami!

Kształty wybrzeża stopniowo w mroku zacierają się, niknęła im z oczu ziemia, przesiakła krwią i łzami tysięcy jeńców i branek polskich, sto razy przekłeta! Ziemia, którą Bóg nad wszelką miarę hojnie obdarzył, aby stała się rajem, a z której ludzie uczynili piekło.

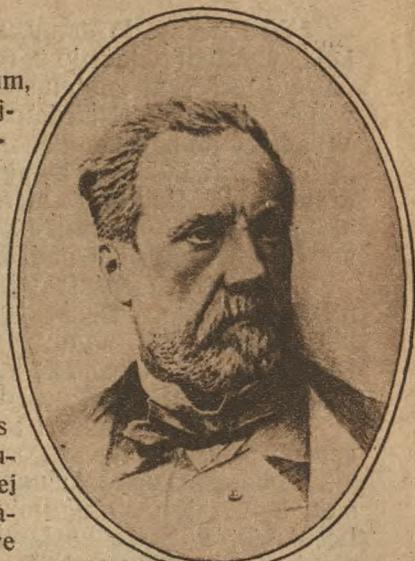
(Ciąg dalszy nastąpi.)

O wściekłości

Corocznie latem słyzy się i czyta wiadomości o wściekłości u psów i przestrogi, nawołujące do czujności wobec tej strasznej zarazy. Co rok też prawie dochodzą nas wieści, że tam czyowdzie wściekły pies pokasał nietylko zwierzęta inne jak konie lub krowy i przeniósł na nie okropny jad wściekliczny, ale że nawet zakał człowieka,

ropa to włafnie owo serum, które zastrykuje się podejrzanym o zakażenie wściekliczny osobnikom. Obrazek nasz ostatni pokazuje lekarza, który daje ten zastrzyk dziecku, ukąszonemu przez psa.

W najnowszych czasach wynaleźli uczeni inny sposób na zapobieganie wścieklicznie, mianowicie szczepienia ochronne psów. Słychać głosy, aby u nas w Polsce, gdzie wściekliczna wskutek rozmaitych przyczyn częściej się powtarza niż w innych krajach, zaprowadzono przymusowe szczepianie psów przeciwko wścieklicznie. Może to nastąpi. Tym-



Pasteur, wynalazca bakcyłu wściekliczny.



Żywemu królikowi zastrzykuje się pod twardą błonkę mózgową jad, celem uzyskania serum przeciwko wścieklicznie.

Na prawo: Wyjmuje się rdzeń pacierzowy królika, zawierający serum.



To najstraszliwszy wypadek. Człowiek, pogryziony przez psa wściekłego i zatruty jadem wściekliczny narażony jest na niewypowiedziane męki, wśród których, sieje przerażenie swoim widokiem, kona. U człowieka objawia się wściekliczna najpierw porażeniem, a potem szaleńcem okropnym. Choroba kończy się zawsze śmiertelnie. Tylko w czasie między ukąszeniem przez psa a wybuchem wściekliczny możliwe jest leczenie i daje pewne widoki wyzdrowienia. Lekarze zastrzykują wtedy limfę Pasteura, czyniącą człowieka odpornym na jad wściekliczny.

Dobroczynca to ludzkości o nieśmiertelnej sławie ten Pasteur, uczony francuski, człowiek o głębokiej wierze katolickiej, który wynalazł serum przeciw wścieklicznie. Tysiące ludzi pokąsanych przez wściekłe psy zawdzięczają mu ocalenie.

Obrazki nasze pokazują, w jaki sposób zyskuje się limfę zbawienną. Oto królikowi w mózg lub w rdzeń pacierzowy zastrzykuje się jad, wyjęty z mózgu wściekłego psa. Takie zastrzyki wywołują jątrzenie w mózgu lub rdzeniu królika, którego się zabija i wyciąga ów rodzaj ropy. Spreparowana ta

czasem jednak zapobiegajmy złemu innemi, przystępnemi nam sposobami. Przedewszystkiem stosować się do rozporządzeń władz administracyjnych, wiązać psy w okresie niebezpiecznym, dawać im mocne kagańce, nie pozwalać wałęsać się podejrzanym psom w oborach, stajniach i chlewach i innych pomieszczeniach dla zwierząt domowych.



Choremu dziecku ugryzionemu przez psa wściekłego zastrzykuje lekarz serum.

Silne słowa biskupie przeciw nieskromnym ubiorom

Jeden z biskupów polskich, mianowicie X. Biskup Łoziński, wydał List Pasternski przeciw nieskromnym ubiorom. Schwycili się już tego sposobu biskupi niemieccy i austriaccy. Słowa biskupa pińskiego są szczególnie silne. Może uderzą jak młot w zakute głowy kobiet oszalałych na punkcie mody.

„Walka z głupią, a bezbożną modą — pisze X. Biskup — nie daje dotychczas skutków upragnionych. Nowiasty nasze, jedne ze względu na wygodę, inne przez skłonność do małpowania, a jeszcze inne wskutek grubej zmysłowości, nie przestają ubierać się nieskromnie. Nie tylko wystawiają na pokaz swe członki

i skórę, często zresztą szpetne, nieraz w dodatku niezdarnie pomalowane (jeno patrzeć jak przywieszają sobie na wzór dzikich do nosa lub uszu błyszczące ciężarki), ale cynicznie odsłaniają przed światem brudne poruszenia swych dusz, zmysłów i serc. Owszem zdaje się nieraz, że chcą uchodzić za brudniejsze, niż są w rzeczywistości, bo n. p. te, co się nie ośmielają występować z gołymi łydkami, naciągają pończochy cielistego koloru, aby jednak uchodzić za gołonożne. Do tego stopnia, egoizm i bezwstyd zabijają w nich sumienie, że chęć ustrzeżenia niewinności biednego dziecka nie znajduje do ich duszy przystępu i z lek-

k'iem sercem gorszą cudze i własne dzieci swoim widokiem, a nawet zaprawiają te same do złego, ubierając je w sukienki, które najwięcej nagości pozostawiają odkryte.

Zarówno na ulicy, jak w poważnym towarzystwie ukazują się w odzieniu, które tylko na nazwę negliżu zasługuje i nawet powaga świątyń Pańskich nie otrzeźwia ich, bo ośmielają się wchodzić w suknie wykrojonych i podkasanych do kościoła i przystępować tak do sakramentów św. Chcę przypuszczać, że nie wszystkie czynią to przez upór i lekceważenie przestrog kościelnych. W znacznej części jest to objaw tylko temności umysłu i brak poczucia (jużci oplakania godny) graniczy między uborem przyzwoitem i nieprzyzwoitym.

X. Biskup daje następnie wskazówki księżom, jak mają walczyć przeciwko tym wybujałościom chorośliwej mody.

Pomiędzy innymi czytamy takie polecenie:

U drzwi kościelnych wywiesić na miejscu widocznym, ogłoszenie treści takiej:

Nie wolno wchodzić do domu Bożego niewiastom wydekoltowanym lub mającym suknie przejryste,

zbyt krótkie albo z krótkimi rękawami. Rękawy mają sięgać niżej łokci, a spódnice do kostek, — dotyczy to także dzieci obojej płci. Gole rączki mogą mieć tylko dzieci b. małe (poniżej lat pięć), ale i tych ubranie dolne powinno zakrywać kolana.

Niewiasty, przystępujące do jakichkolwiek sakramentów św. mają mieć ubranie zapięte do szyi, rękawy i spódnie jak powiedziane wyżej, przytem głowę zakrytą kapeluszem, chusteczką lub welonem, natomiast ręce bez rękawiczek. Z głową odkrytą w kościele być mogą tylko dziewczynki nieletnie i panna młoda oraz osoby z orszaku ślubnego, jeśli mają wianki na włosach, i osoby bierzmiące się w chwili namaszczenia czoła.

Czy strój danej osoby odpowiada wymaganiom powyższym czy nie, o tem sąd należy wyłącznie do proboszcza (wzgl. rektora) kościoła lub jego stałego czy doraźnego zastępcy. Na jego żądanie osoba, nie ubrana jak trzeba, ma natychmiast opuścić świątynię (wzgl. inne miejsca nabożeństwa lub cmentarz). W razie oporu ma być wprowadzona

Tę ksiądz Biskup pański.

Oby jego twarde słowa odniosły pożądany skutek.

Czem będą nasze dzieci?

Garncarz.

Uczeń może mieć średnie siły, jednakowoż zdrowe nerki i serce. Nie powinien też cierpieć na choroby płucne. Garncarz jest narażony na wdychanie pyłu, mianowicie przy rozbieraniu starych piecy. Zwykle pracuje mokrym materiałem, a na budowach wystawiony na zimno i przewiewy. Nauka rozpoczyna się w 14 roku życia. Uczeń powinien mieć wykształcenie najwyższej klasy szkoły powszechnej. Zapewne potrzebne są chłopcu rysunki, znajomość rachunków i piękne pismo. Nauka trwa trzy lata. Mistrz płaci tygodniowo uczniom po kilka złotych. Narzędzia tylko częściowo uczeń kupuje i płaci za nie do 20 złotych. Widoki dotychczas są zadowalające. Jednakowoż w wielkich miastach opał centralny zastępuje piec.

Do samodzielnosci potrzeba około 2.000 zł. Uczni zgłasza się mało.

Kapelusznik.

W interesie naszego kraju leży, aby u nas kapelusznictwo rozwinęło się jak najbardziej, ponieważ bardzo dużo kapeluszy sprowadzamy z zagranicy. Praca w zawodzie tym wymaga zdrowych płuc i cierpiący częściej na ból głowy nie powinni poświęcać się temu zawodowi. Powietrze w pracowniach jest suche a nawet bardzo gorące, co ujemnie działa na przyrządy oddechowe.

Przytem trzeba oddychać wyziewami szelaku. W fabrykach kapeluszy pracownik oddycha bardzo szkodliwymi dla zdrowia wyziewami rtęci. W powietrzu jest dużo pyłu.

Kto chce w zawodzie tym pracować, powinien być średnio silnym i mieć zdrowe stawy w rękach. Kto zapada łatwo na reumatyzm i na chore stawy w rękach, pracować tu nie może. Więc osoby słabe na płuca, cierpiące na płaskie nogi i żyły kurczowe, nie mogą temu zawodowi się poświęcać. Nauka w małym warsztacie jest najpożyteczniejszą, bo tutaj uczeń widzi wszystko, gdy w wielkim warsztacie istnieje dążność, aby uczeń się wykształcił tylko w pewnej części zawodu i przez to nabral większej wprawy. Jako taki jest więcej mistrzowi pożyteczny. W interesie ucznia leży, aby nauczył się wszystkiego. Nauka rozpoczyna się po czternastym roku życia. Kapelusznicy wymagają, aby uczeń skończył najwyższą klasę szkoły powszechnej. Nauka trwa trzy do czterech lat. Przed wojną za naukę nic nie płacono. Narzędzia daje

pryncypał. Czasem wymaga się, aby uczeń znał się na prowadzeniu ksiąg kupieckich. Było też w zwyczaju, że w końcu roku płacił mistrzowi pewną sumę (100 mk.) za tak zwaną naukę fasonowania. Czeladnik zarabia do 40 zł. i więcej tygodniowo. Fabrykację kapeluszy włosieniowych wypierają kapelusze wełniane, wyrabiane w fabrykach. W fabryce znaleźć może czeladnik zajęcie tylko na czas wyuczenia robotników.

APTECZKA DOMOWA

Kozłek pospolity. (*Valeriana officinalis*.)

Kozłek należy obok dzięgla, kwiecica lipowego i nógietek do ziół, posiadających wielkie zalety lekarskie. Nigdy go z aptek nie usuwano i dziś, jak przed laty, zapisują go lekarze na choroby nerwowe i na choroby serca. Kozłek — nazywają go walerjanem) rośnie nad brzegami rzek i strumieni. Woń ma nieprzyjemną, ale smak korzenny. Liście ma pierzaste, jak podobny do niego trujący szalek, kwiaty białe, czasem czerwone. Około kwiatów roją się zwykle motyle. Co kozłek zawiera? Oto specjały kwas walerjanowy, szczawian wapna, jableczan, żywice i to jest całość.

Jeżeli nas trapi bezsenność, zażywamy co trzy godziny po łyżce siołowej wywaru z drobno pokrajanego korzenia kozłka. Bierze się na kwartę wody 60 gramów korzenia i gotuje dobrą minutę, poczem odstawia, by płyn ostygł. Można też ów korzeń pokrajany zalać zimną wodą i pozostawić 5 dni, poczem lekarstwo zdatne do użytku. Tak samo leczy się kozłkiem padaczkę, czyli epilepsję, oraz histerję u kobiet, objawiającą się w bólach głowy, w płaczu (bez przyczyn) i śmiechu chorobliwym, tracienu przytomności i drgawkach. Dzieciom na konwulsje dobrze kąpać się w odwarze kozłka. Bierze się garść korzenia na garniec wody i wlewa do wanny. Kto łatwo się męczy, powinien także pić wywar z kozłka. Na bicie serca bierze się garść liści kozłka, zalewa szklanką waru, przykrywa szczelnie i pije po dziesięciu godzinach ten napar, dwa razy dziennie.

Przy zbieraniu kozłka musimy bardzo uważać, aby zamiast tego ziela nie zbierać trującego szaleju. Szalek jest największą wśród ziół trucizną. Poznać go po korzeniu wewnątrz pustym i cieczy słodkawej. Żadną jednakowoż miarą nie powinniśmy tego ziela trującego brać do ust i ręce należy po niem starannie umyć.

K.

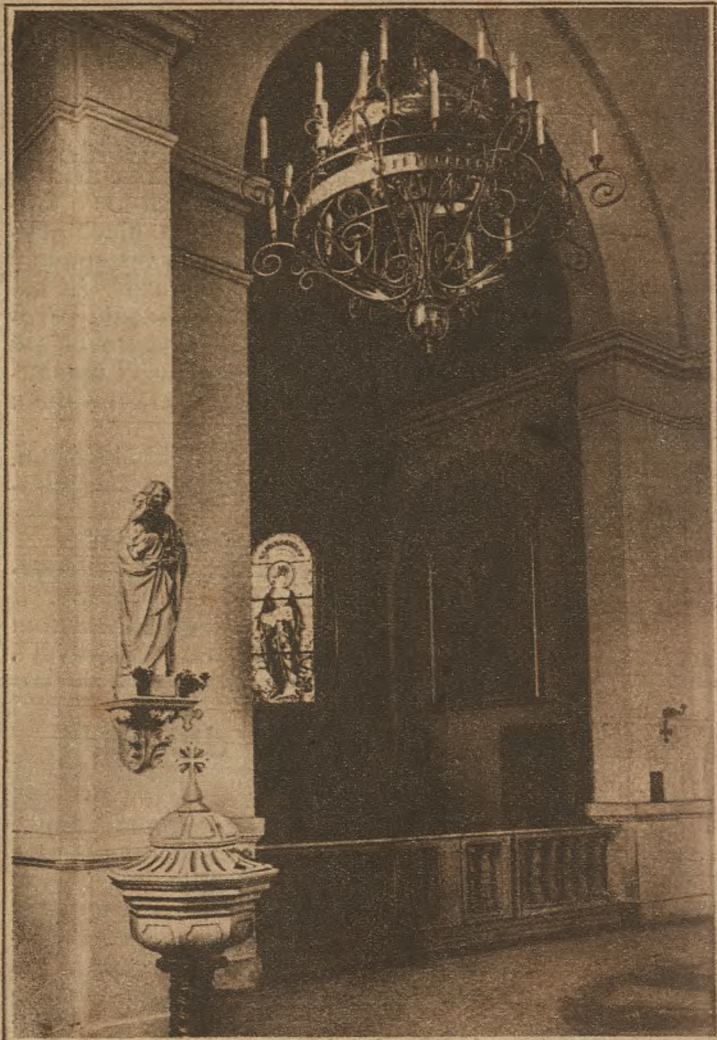
Pan Prezydent na Pomorzu



P. Prezydent ∞ po zwiedzeniu kościoła w Jastarni.



Nowy kościół w Grabowie Król. pod Wrześnią.



Piękny tyrandol w nowym kościele, wykonał p. Stefan Żurowski, ślusarz artystyczny z Poznania. Wszystkie sprzęty wykonały firmy krajowe.



U góry na lewo: Obchód 3 maja urządzony przez kolonję polską w Maryho (Danja). Uroczystości przewodził z. prob. Klesons, Duńczyk, ∞ gorący przyjaciel Polski, kawaler orderu Polonia Restituta.

Na prawo: Grupa uczestników kursów Stenograficznych, jakie się odbyły w Inowrocławu. Kurzy te z zakresu językoznawstwa i historii pol., urządzone przez Macierz Szkolną, cieszą się dużym powodzeniem.

Na dole na lewo: Pp. Józefstwo Izalowie z Białogostku, obchodzili złoże gody matulskie.

Na prawo: Elekawy wybrzyk natury w Ogrodzie Zoologicznym w Poznaniu: gęś o frzech nogach.



Przedpłata kwartalna za „Przewodnik Katolicki” wynosi w I kwartale 1927 r. za egzemplarze osobiście odbierane w ekspedycji i agencjach poznańskich 1,65 zł. Za egzemplarze wysyłane w opasce pod adresem imiennym w ilościach od 1 do 9 egz. po 2,40 zł., od 10 do 59 egz. po 2.- zł., od 60 egz. wz. wyż. po 1,65 zł. Dla abonentów pocztowych przedpłata kwartalna wynosi 2.- zł., miesięczna po 67 groszy za każdy miesiąc łącznie z kosztami manipulacyjnymi. Pocztowe konto czekowe: Poznań P. K. O. nr. 206 084 „Przewodnik Katolicki”.